



Teresa Dudzicka

Sygnatura notacji: **N0062**

Data urodzenia: **23.01.1931 r.**

Data nagrania: **28.08.2007 r.**

Czas nagrania: **75 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Teresa Dudzicka: Urodziłam się w Wilnie, 23 stycznia 1931 roku. Tak że już w tej chwili jestem grubo po siedemdziesiątce. Jakoś nie udało mi się rozpocząć szkoły, nauki w normalnej szkole, bo wybuchła wojna, ale w 1938 roku mama, która pracowała w wojskowym szpitalu w Wilnie została przeniesiona do Łodzi. I oczywiście miałam zacząć rok szkolny w Łodzi w 1939 roku. Niestety mamę zmobilizowali. Mama z wojskiem jechała na Wschód, mnie zabrała do tej sanitarnej bryczki i razem z wojskiem jechaliśmy na Wschód. Uciekaliśmy przed Niemcami. Były jakieś drobne potyczki po drodze, jakieś rozerwanie tych transportów wojskowych, ale ja jako dziecko to tego po prostu nie zauważałam. Pamiętam palące się Brzeziny pod Łodzią. To pamiętam, bo mnie kocem przykryli, głowę, żeby nie widziała. Pamiętam spotkanie w Warszawie z ojcem, który pracował w dyrekcji kolejowej w Warszawie. Mama mówi: „Jedź z nami na Wschód”. Ojciec mówi: „Nie mogę, jestem zmobilizowany do obrony Warszawy”. I pracował w dyrekcji kolejowej w Warszawie. I tak dzień po dniu, aż po 17 września pod Kowlem sowieci wzięli nas do niewoli. Widziałam to rozbrajanie, widziałam, jak żołnierze rozbierali karabiny, drzewce oddzielnie, te zamki wyrzucali oddzielnie, tak żeby nie oddać sowietom pełnowartościowej broni. I potem w wagonach tych sowieci zorganizowali takie eszelony. Część zwolnili żołnierzy, tam mieszkających gdzieś blisko na Wschodzie. Część była w innych wagonach, a ja z mamą byłam w wagonie, gdzie było 42 oficerów, mama i ja. Ci panowie mnie podnosili na ramionach do okienka takiego, to były wagony bydłące oczywiście. Do tego okienka na górze i mówili, żeby krzyczała, wołała, jeżeli zobaczę jakiegoś, oni nazywali to „Czubaryka”, sowiecia, który będzie miał więcej kubików na kołnierzyku, bo wtedy mundury jeszcze były inne. Takie były kołnierzyki i tu były kubiki, nie gwiazdki, ale kubiki określające ich rangę. Liczyłam do... O, jest, idzie jakiś, ma cztery kubiki, więc wrzeszczałam. Zainteresował się ten, pyta tego żołnierza z karabinem przy zamkniętych drzwiach, co tam robi [niezrozumiałe, 00:03:16] z rybionkiem. Odpowiedział, że to jest żona oficera.

A mama znając język rosyjski, waliła w te drzwi, mówi: „Nie. Ja jestem żoną kolejarza”. Pokazała legitymację ojca kolejarza, taką legitymację zniżkową na koleje i udało się. Po małych tam perypetiach, po trzech dobach, bo tak nas wozili między Równem a Szepietówką. Nie wiedzieli, gdzie te transporty... prawdopodobnie nie wiedzieli, gdzie odesłać te transporty jeszcze wtedy. I udało nam się, mamie i mnie, mama ze mną wyszła z tych wagonów. Wszyscy oficerowie mieli zakodowany nasz adres. Zresztą bardzo łatwy dla nich do zapamiętania, bo ja mieszkałam w Wilnie na ulicy Legionów 33. Legionowa ulica. Więc dla nich ulica Legionów to było już takie hasło. Potem ja, będąc dzieckiem, z mamą tam dotarłam do babci w październiku dopiero. Miała mama taką kartkę, że jest z Bierzynieć, dostała jakieś takie produkty w jakimś sklepie wtedy, kilka rzeczy zawinięte w rożek dla dziecka, ale potem okres ten wojenny w Wilnie. Mama się związała z wileńskim AK. W naszym domu były różne tajne komplety. Już jak sowietci byli, to już się młodzież uczyła na tajnych kompletach. Tu w centralnej Polsce dopiero... bo cały czas inna okupacja była. U nas było zupełnie inaczej, bo byli sowietci, byli Litwini, którzy byli nam raczej wrogo nastawieni. Potem byli Niemcy, potem znowuż byli sowietci, więc bez przerwy była rotacja okupantów. Dopiero w 1946 roku, już po „wyzwoleniu” przez sowietów, sowietci nas „wyzwolili” w 1944 roku, a ja do szkoły, do gimnazjum poszłam w 1946 roku, bo wtedy powstało pierwsze polskie gimnazjum w Wilnie, od razu do gimnazjum. Wiedzę miałam opanowaną o tyle, bo w naszym domu były właśnie tajne nauczania w całym okresie tego okresu różnych okupacji i ja się przysłuchiwałam, uczyłam się, czytałam, a ponieważ do polskiej szkoły Polaków przyjmowali chętnie, to mnie taką niewykształconą, z podstawowym nauczaniem też przyjęli do pierwszej gimnazjalnej i to było gimnazjum mieszane przy ulicy Ostrobramskiej w Wilnie. Pierwszą klasę tam skończyłam. O, nie przyniosłam tego świadectwa, bo bym pokazała państwu. Tam było pięć albo sześć języków, bo był język polski, litewski, rosyjski, niemiecki, bardzo krótko był łacinnik, ale on potem wyjechał do Polski, więc tego nie miałam na świadectwie, i był francuski. Nawiasem mówiąc z francuskiego na świadectwie miałem dwójkę i napisane było, że mam zdawać z francuskiego w jesieni. Ale tak się złożyło, że już ta jesień następnego roku, to już była w Polsce. Bo w 1947 roku w maju wyjechaliśmy do Polski, bo jeszcze muszę tu powiedzieć, że mamy nie było od 1944 roku, w grudniu ją zabrali, a wróciła w 1946 roku. I wtedy się... była wywieziona, była aresztowana za działalność akowską, wileńskiego AK, była w Archangielsku. Po powrocie koniecznie do Polski, do Polski już ten pierwszy etap repatriacji był zakończony, ale jeszcze dodatkowe transporty były i w maju w 1947 roku przyjechaliśmy do Polski. W Gorzowie na ziemiach odzyskanych nas osiedlono. Ja zaczęłam szukać szkoły, gdzie nie ma francuskiego, bo przecież miałam zdawać z francuskiego i znalazłam handlówkę, gdzie nie było francuskiego. Tak że matką maturę zrobiłam w handlowym gimnazjum i tam związałam się z harcerstwem. To była szósta drużyna harcerska. Jeden obóz jeszcze w 1948 roku mieliśmy z tą drużyną. Ja tam prowadziłam zastęp „Szarotek”, potem w następnym roku już byłam w klasie maturalnej w ogólnokształcącym liceum. Dwie klasy w jednym roku robiliśmy. Wszystko było zupełnie inaczej jak teraz. Ale maturę zrobiłam. Wtedy po maturze zostałam aresztowana, bo to harcerstwo nasze legalne trwało krótko. My pełni entuzjazmu, ja przyjechałam nastawiona opowieściami o Szarych Szeregach, czytałam „Kamienie na Szaniec”, to było dla nas wszystko bohaterstwo harcerzy. I nasza drużyna, i drużyna chłopców po zmianach organizacyjnych w harcerstwie, zorganizowaliśmy nielegalne harcerstwo. Jeden z kolegów, on był drużynowym męskiej drużyny, Lenart Olek, zaproponował, a ja powiedziałam: „Naturalnie. Ja też. Jak działać, to działać”. I stworzyliśmy HOP, Harcerską Organizację Podziemną. Też krótko to trwało, UB nas rozpracowywało i rozpracowało, i w październiku, 23 października 1949 roku aresztowali nas.

Głos: A czym się zajmowała pani, na czym polegała działalność pani w harcerstwie?

Teresa Dudzicka: Działalność. Myśmy...

Głos: W tym nielegalnym.

Teresa Dudzicka: No, nielegalna działalność, ponieważ zmieniły się struktury harcerskie, myśmy w dalszym ciągu jeszcze chcieli być tym Związkiem Harcerstwa Baden-Powellowskiego. Poza tym nasze przyrzeczenie było inne z odwołaniem do Boga, do honoru, do ojczyzny. Ulotki rozdawaliśmy, rozsyłaliśmy po domach. Na kinie, wzorem właśnie z okresu okupacji, jak były afisze w Polsce tutaj, na kinach wisiały afisze: „Tylko świnie siedzą w kinie na niemieckich filmach”, to myśmy to pisali: „Tylko świnie siedzą w kinie na ruskich filmach”. Bo a la long były ruskie filmy w kinie, w Gorzowie było kino „Słońce” i myśmy na tej gablocie robili swoje właśnie... afisze wieszaliśmy. Teraz jak przeglądałam akta z IPN-u, to nawet nasze szyfry harcerskie, bardzo proste szyfry, to były dla ubowców poważnym dowodem obciążającym nas. Był nasłuch, mieli koledzy zadania. Nasłuch na przykład radia Londynu, potem co o tym mówią, jakie są wiadomości. Myśmy to w ulotkach pisali, opisywali i rozsyłali albo rozdawali oczywiście jako niewidzialna ręka, te ulotki. Niektórzy koledzy, tam potem powstał Batalion Śmiały, ja w tym akurat już nie brałam udziału. Oni tam nawet jakąś broń organizowali. Ja byłam w tej grupie właśnie szyfrantów, ponieważ w handlówce uczyłam się stenografii. Miałam bardzo dużo zeszytów, ćwiczeń stenograficznych, to jak była rewizja w domu, zabrali te zeszyty. Na przesłuchaniach kazali mi czytać, ja to dukałam, dukałam. Czasem z radia jakieś przemówienie czy coś, ja próbowałam to stenografować dla ćwiczenia, ale potem odczytywać to było naprawdę trudno, jeszcze w takim układzie, jak byłam przesłuchiwana i miałam to czytać, i ze strachem. Więc jak dukałam i czytałam, że to jest przemówienie Bieruta czy inne jakieś, to oczywiście ubowcy nie wierzyli w to. Biegli musieli odczytać moje ćwiczenia stenograficzne. Byłam tam w UB określana jako szyfrantka, bo szyfry harcerskie nasze też były uznane jako wroga robota. Kilka miesięcy było tej naszej pracy, ale staraliśmy się tak: zbiórki organizować nielegalnie, pracowaliśmy w harcerstwie legalnie i my jako kadra instruktorska próbowaliśmy jeszcze nielegalnie z młodzieżą właśnie przenosić te tradycje harcerstwa przedwojennego. UB nas potraktowało bardzo politycznie. Myśmy nawet nie wiedzieli, że to jest aż taka walka z sowietami. Te nasze właśnie hasła, te nasze ulotki, podejrzewam, że nie wszyscy członkowie HOP-u zdawali sobie sprawę, że my działamy jednak przeciwko sowietyzacji. Dopiero UB nam to uświadomiło, że to jest taka polityczna robota. Jak zaczynaliśmy, to myśmy nie wiedzieli, że my tak politycznie działamy. Ale krótko to trwało, okres śledztwa, więzienia to były ciężkie miesiące. Koledzy zostali przewiezieni do więzienia w Zielonej Górze, ja przez cały czas byłam w UB w piwnicy i tylko jedna byłam z dziewcząt sądzona. Czterech chłopców z naszej grupy i ja. Byłam przywódczynią, organizowałam tę żeńską grupę i w związku z tym ja byłam najgorszym wrogiem Polski Ludowej, ale i to przeżyłam. Artykuł 86. KKWP wszystkich nas obejmował, czyli walka z ustrojem. Najniższy wymiar kary, pięć lat. Po tym zmienili w stosunku do mnie i do Kućki, i do Korzeniowskiego, artykuł na 36. małego kodeksu karnego i dostałam półtora roku w zawieszeniu na dwa lata. Wyszłam z ubowskiej piwnicy, zagrożona gruźlicą, miałam zamglenie prawego pola szczytowego, gruźlicę płuc i tam się, w takim, po wyjściu z tych kazamatów ubowskich, to naprawdę było straszne chodzenie po ulicach, bo co drugi człowiek wydawał mi się, że ja u niego byłam na przesłuchaniu. Ten był w mundurze, ten w cywilu. Czufałam się że jakieś oczy za mną patrzą, że ktoś za mną chodzi. I po niecałym roku rodzice załatwili mi lokum w Otwocku. Tym bardziej, że właśnie byłam zagrożona gruźlicą, ojciec mnie przyprowadził do znajomego architekta w urzędzie, wtedy to jeszcze się nazywało prezydium rady narodowej, i mówi: „Słuchaj, moja córka ma maturę i wyrok. Przyjmij ją do pracy”. I zaczęłam pracować w wydziale architektury

jako urzędniczka. Ale bardzo krótko to trwało. Ja w ankietach nie podałam oczywiście tego epizodu z mojego życia, że działałam nielegalnie, że mam wyrok, że jestem na indeksie. W ogóle, że byłam na indeksie, to się na studia nie dostałam. Planowałam w Poznaniu rozpocząć prawo, ale tylko na planach się skończyło. I po paru miesiącach mojej pracy w Gorzowie, ja przyjechałam do Gorzowa w 1952 roku w lipcu, wtedy powstał tam właśnie urząd miasta i powiatu, bo powiat warszawski został podzielony. To już taka administracyjna dygresja. I nowo powstała jednostka była tam. Po paru miesiącach wzywają mnie do UB. Jak przyszedłam, to widzę, że teczka leży na stole i napisane: „PUBP Gorzów”, czyli akta moje przyszły. I pytanie szefa UB, dlaczego, co, jak, dlaczego ja zataiłam swoją przeszłość? A co mnie pozostało, płacz, „Bo pracy bym nie dostała. Już wiem, że się na studia nie dostałam, to i pracy bym nie dostała”. To popatrzył na mnie, pokiwał głową, mówi: „Trzeba będzie tą swoją samokrytykę przeprowadzić, żeby pracownicy w urzędzie, tym, gdzie pracuje, wiedzieli z kim mają do czynienia”, z jakim to wrogiem Polski Ludowej się stykają. I zwołali zebranie, wszystkich pracowników prezydium, jeszcze wtedy był taki urząd klimatyczny w Otwocku, więc z tego urzędu pracownicy jeszcze przedwojenni z klimatyki i ja na mównicy, prezydium oczywiście, tam Liga Kobiet, POP, jakieś jeszcze tam związki zawodowe, no, władze, władze. I ja na tej mównicy, tak jak dzisiaj, zaczęłam od życiorysu, że gdzie się urodziłam, co było, jak było, opowiadam. Ale głowę mam spuszczoną i słyszę tylko, że takie jakieś tam pochlipywania na sali, więc podnoszę trochę wzrok, patrzę, ktoś wyciera oczy, ktoś bierze chusteczkę, wyciera oczy, jeszcze ja wyżej głowę, głośniej mówię i cały ten mój życiorys, i to przejście gorzowskie z Gorzowa i wyrok, to wszystko zrobiło... zupełnie odwrotny skutek odniosło jak zamierzali ci, co mi kazali tę samokrytykę przeprowadzić w zakładzie pracy. Bo jak wychodziłam, to ci starzy, przedwojenni jeszcze niektórzy pracownicy to mnie tulili, obejmowali na schodach, oczywiście już po wyjściu z sali mówili: „Nie bój się, dziecko, nie damy ci zginąć”. Tak że odwrotny skutek, wyszłam tam w charakterze bohatera narodowego, a nie przestępcy, jak chcieli to przedstawić. I zupełnie zaczęłam się już lepiej, pewniej czuć w tej pracy, ale byłam cały czas śledzona, pilnowana, do tego stopnia, że jakieś były wybory. Chyba w 1953 roku, już nie pamiętam, ja głosowałam, nawet pracowałam w tej komisji wyborczej, siedziałam przy tych listach wyborczych i sama też głosowałam. I po jakimś czasie wezwali mnie do Państwowej Komisji Wyborczej, chyba oddział wojewódzki do Warszawy, że nieprawnie, bezprawnie oddałam głos. Oczywiście to było nieprawdą, bo ja nie byłam pozbawiona praw obywatelskich, o czym ten, kto mnie śledził, nie wiedział. Wiedział, że ja mam wyrok, ale nie wiedział widocznie wszystkich konkretów. Ja się tam zaperzyłam, mówię: „Jak to nie miałam prawa oddać głosu, ja nie jestem pozbawiona praw obywatelskich”. I wyszło na moje, ale wtedy zorientowałam się, że jestem tak pilnie śledzona, że tak mi patrzą na ręce, co ja robię. I 1953 rok, grudzień to tak się zapisał bardzo tragicznie w moim życiorysie, bo miałam wypadek samochodowy. Miejską taksówką jechałam służbowo i taksówka wpadła pod pociąg. Pasażer z przodu został zabity, kierowca wyrzucony na lewą stronę, a ja siedziałam z tyłu. To była taka tak zwana blaszanka, nie wiem czy to było DKW, czy coś, już nie pamiętam, z tyłu i jak lokomotywa uderzyła z prawej strony to ten samochód się otworzył, tak jak potem na wizji lokalnej prokurator mówił, że jak bombonierka się otworzyło. Ja z tej „bombonierki” wyleciałam dachem, stąd mam te znaki, ślady na twarzy jeszcze do dzisiaj, bo to się... Ale było wtedy bardzo tragicznie, bo miałam złamany nos, uderzenie głową w tę blachę, wyrwany policzek. Oszpeciło to mnie strasznie, załamało. Tak jakoś bardzo się czułam zdeptana. Mało, że moralnie byłam zdeptana, to jeszcze i fizycznie oszpecona. I też jakaś kara Boża. I wtedy bardzo długo miałam takie czerwone oczy po uderzeniu, wylewy do oczu były, nazywali mnie „Miss o szkarłatnym spojrzeniu”. Przyłgnęło to do mnie, takie przewisko. To kilka miesięcy tak chodziłam z tymi czerwonymi oczyma i wtedy pan Rusek, który był jednym z organizatorów amatorskiego teatru w Otwocku, zaproponował mi, żebym do teatru przyszła. „To będziesz miała

tutaj taką...”, ale pracował z nami w wydziale architektury. „Będziesz miała odskocznnię”. Mówię: „Ja z taką twarzą do teatru? Nigdy w życiu”, a on mówi: „No, to do baletu. Potańczysz”. I ściągnął mnie do zespołu amatorskiego teatru, do sekcji baletowej. Oczywiście w tańcu to nie było tego widać, zresztą jak się tam zamalowało tę twarz, to blizna była paskudna, taka gruba pręga na policzku, to robiło swoje. Ale po kilku latach tańczenia w tym zespole, przesunął mnie do sekcji dramatycznej. Tak pomalutku, pomalutku moje jakieś takie uprzedzenia co do tego, jak ja wyglądam, moich kompleksów, trochę się wyzbyłam tych kompleksów i zaczęłam w teatrze też udzielać się, bo w balecie już nie pozwolił mi mój mąż, bo w 1957 roku wyszłam za mąż. On mówi: „Nie będą cie tam obfapywać chłopcy”, bo to zwykłe bluzka była podwiązana wyżej, jakiś tam kawałek gołego ciała, to się mężowi bardzo nie podobało. Więc w sekcji dramatycznej. Ale też moje wychodzenie na próby, to potem już coraz trudniej było. To pan Rusek znowu znalazł wyjście. Mówi: „Słuchaj, sprowadź męża do teatru i będzie wtedy wszystko...”. I jemu dał rolę jakąś, i on ze mną chodził na próby, i już się wtedy jakoś tak to ułożyło. Ale potem już tylko praca, dom. Zaczęłam zaocznie uczyć się jeszcze przed wyjściem za mąż. To wpierw kursy kreślarskie skończyłam, potem do technikum budowlanego poszłam, skończyłam, ale już dyplom technika budowlanego robiłam po śmierci męża, bo on zginął tragicznie, w 1965 roku. Zostałam wtedy z córką 6-letnią i z egzaminami dyplomowymi zaraz po śmierci męża. Nawet nie chciałam zdawać, bo pamiętam, że poszłam z jakąś taką pracą, harmonogram robót budowlanych trzeba było przedstawić. Ja podaję temu inżynierowi, który mnie egzaminował te moje materiały, a on się podniósł, kondolencje mi złożył, bo ja w żałobie byłam, wszyscy wiedzieli, że jestem świeżo po pogrzebie i poprosił o indeks, wstawił chyba czwórkę nawet, ja wyszłam, płacząc, na korytarz. Koledzy tam: „Co, co, co? Nie dał, nie przepuścił? Awantura?”. Ja mówię: „Nie, wręcz przeciwnie. Nie sprawdził nawet mojej pracy, postawił mi czwórkę. Ja tego nie chcę”. I potem miałam problemy, bo nie chciałam po prostu zdawać. Nie chciałam łaski. Ale cały semestr przeciągnęłam. Po uzyskaniu dyplomu, pracę w wydziale architektury, już z urzędnika zmieniły się na takie bardziej techniczne, potem były tam administracyjne podziały, to powstawały miejska rada, powiatowa rada, ja do powiatu poszłam do pracy. I tak cały czas w tej radzie narodowej pracowałam, a to jakieś budownictwo wiejskie prowadziłam, a w 1968 roku obdarzyli mnie funkcją kierownika zespołu usług projektowych. Tam była taka przy wydziale jednostka i mogliśmy wtedy dorabiać, robiąc projekty w tej jednostce. I to aż do emerytury prowadziłam ten zespół. Potem już jako samodzielny zespół, nie przy wydziale architektury. Takie administracyjne różne zmiany były. Cały czas w Otwocku, cały czas rada narodowa, cały czas teatr. Dopiero jak już można było... A, PTTK jeszcze był po drodze, jeszcze działałam po linii turystycznej, byłam prezesem przez kilka kadencji w Otwocku, co nawet teraz zostało docenione, bo był jakiś plebiscyt na człowieka roku w różnych takich dziedzinach. Mnie wytypowano właśnie w dziedzinie sportu i turystyki, bo w dziedzinie kultury było za dużo mocnych pozycji, to uznali, że ja mogę tam nie przejść, ci organizatorzy, Towarzystwo Przyjaciół Otwocka, jest takie, i jak się zobaczyłam w gazecie, że mnie tam wytypowali na to. Nawet byłam zdziwiona, ale... I zdobyłam. Zdobyłam trzecie miejsce. Już teraz tyle nie działałam w tej turystyce, a mimo to ludzie pamiętali, bo plebiscyt był ogłoszony w gazecie i głosowali na mnie. Rok temu to było. Bardzo niedawno. Więc... Moje prywatne życie, jak owdowiałam, to wychowywałam córkę, po 17 latach wdowieństwa wyszłam powtórnie za mąż za Bułgara, żeby było śmieszniej, ale to małżeństwo trwało dosyć długo, ale takie korespondencyjne, jak to nazywali wszyscy, bo on przyjeżdżał na okres zimowy tu, ja w okresie letnim jechałam na miesiąc, dwa tam i tak w końcu w 2005 roku rozwiodłam się, bo uznałam, że nie ma co sobie tak blokować, po mojej śmierci, żeby miała córka kłopoty spadkowe po mamusi, jak będę miała za granicą takiego korespondencyjnego męża. To już było takie raczej trochę... On i już przestał przyjeżdżać tu, ja przestałam tam jeździć i w końcu bez żadnych problemów sąd dał mi rozwód, i uregulowałam

przynajmniej tam jakiś epizod z życia. A jak można było już ujawnić swoją nielegalną działalność, to zaczęłam od wstąpienia do Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. W Otwocku tego nie było, takiego żadnego koła. W Warszawie należałam. A po kilku latach odkrył mnie tam jeden z kolegów, kolega Jakubowski, harcerz, harcmistrz zresztą i mówi: „Ty, jako była harcerka nie musisz być tam. Chodź do «Jaworzniaków»”. Ja mówię: „Ale ja nie byłam w Jaworznie”. „A, to nie szkodzi”. To w Jaworznie byli mężczyźni, byli chłopcy. To było więzienie progresywne dla płci męskiej. Ale wszyscy, którzy w tym okresie byli aresztowani i w okresie, jak nie mieli jeszcze ukończonych 21 lat, mają prawo być w związku „Jaworzniaków”. I przeniosłam się tutaj. Okazało się, że większość kolegów właśnie była tam, bo dopiero ten związek powstał, w tej chwili to już 17 lat temu. Wyłonił się właśnie z tego związku więźniów politycznych. Ci ciut młodszy więźniowie, ciut młodszy członkowie tego związku więźniów politycznych założyli młodocianych więźniów związek i ja tutaj w 1998 albo 1999 roku przeniosłam się i działałam. Jakoś tak i w strukturach oddziału, i w strukturach zarządu głównego, bo jestem przewodniczącą komisji rewizyjnej zarządu głównego już trzecią kadencję, a w oddziale warszawskim byłam skarbnikiem, a teraz jestem wiceprezesem od spraw finansowych zarządu oddziału. Ostatnio spotkał mnie też zaszczyt, że otwockie środowisko Światowego Związku AK wprowadziło mnie w swoje szeregi jako członka nadzwyczajnego, bo ja w Otwocku brałam różne... zawsze udział w jakichś różnych organizacjach, imprezach takich organizowanych przez AK, ze swoją opaską. Byli zainteresowani, mówią: „Co to za związek młodocianych więźniów?”, ja mówię: „Bo myśmy byli wtedy młodociani. Teraz już jesteśmy po siedemdziesiątce”. I ja tak z nimi współpracowałam, to zdjęcia im robiłam, to uczestniczyłam w tych uroczystościach i teraz w styczniu w tym roku przyjęli mnie w swoje szeregi. Jestem członkiem nadzwyczajnym Światowego Związku Żołnierzy AK. Tu w oddziale mam też... U nas tutaj większość ma stopnie oficerskie. Ja też już teraz jestem porucznikiem. Pierwsze mianowanie na podporucznika odbywało się w starostwie w Otwocku. Przyjmo wałam ten dyplom, mówię do wręczającego mi ten dyplom pułkownika, mówię: „Do tej pory zawsze byłam harcerką”, a on mówi: „Od dzisiaj jest pani oficerem Wojska Polskiego”. Ku chwale Ojczyzny. A w 2005 roku... teraz jest 2007, w 2004 roku otrzymałam stopień porucznika.

Głos: A teraz jeszcze chciałem zapytać o to, jak wyglądał przebieg aresztowania przez UB i jak wyglądało śledztwo?

Teresa Dudzicka: Przebieg aresztowania, wtedy w tę noc w Gorzowie, to aresztowali przeszło 70 osób. Początkowo myślałam, że 50, ale teraz w tych aktach IPN-u doczytałam się, że 70 osób, bo aresztowali od razu dwie organizacje. Nie wiedzieli, że to są dwie organizacje. W nocy to było. Była rewizja w domu. Mama nie wiedziała w ogóle o co chodzi, przeszukiwali wszystko, książki, zeszyty, przewertowane było właśnie, zabrane były moje zeszyty ze stenografii, te moje szyfry, takie które miałam notatki harcerskie i zabrali nas do piwnicy, sfłoczyli wtedy, jedna, druga pyta, co, nie wiesz za co, co, co to jest, jak to jest. Część osób w ogóle nie wiedziała o tej nielegalnej organizacji, część z tych aresztowanych wiedziała, ale nie należała, tak że po przesłuchaniu wszystkich, po kilku, kilkunastu dniach tak sukcesywnie zwalniali część tej aresztowanej młodzieży. Wtedy się wyłoniło, że są dwie organizacje. Jest jedna organizacja, harcerska organizacja podziemna pod dowództwem Lenarta i druga organizacja, Unia Młodzieży Demokratycznej pod dowództwem Jerzego Masła. Tam była trochę starsza młodzież i ze szkół zawodowych raczej, a nasza organizacja to była harcerska grupa i ogólnokształcące liceum. Tak że takie... Wtedy dopiero UB to rozgraniczyło. Ich śledztwo poszło w jednym kierunku, tam część też zwolnili, zatrzymali pięć albo sześć osób. Jedna była też dziewczyna tam, Wojtkowiak Henia, z którą potem jakiś czas siedziałam w jednej celi.

Od nas też zwolnili część osób. Jeszcze została ze mną Urszula Gawlińska, ale potem po jakimś czasie ją zwolnili, tak że ona nie była sądzona. Ona jeszcze była młodsza ode mnie, bo ona wtedy miała 17 lat i była ciężko chora. Zaawansowaną gruźlicę miała, tak że zaraz po wyjściu z więzienia rodzice wystali ją do sanatorium do Zakopanego i tam przebywała. Tak że dopiero... I potem się zaczęły już takie przesłuchania. Straszne były te... Przeważnie w nocy i to było... oddziałowy otwierał celę, „Baranowska na górę”. Bo nie powiedziałam na początku, że ja Baranowska się nazywałam właśnie. To na górę. I zaczynało się od życiorysu. I potem, co na temat organizacji. Pytania, „Opowiedzcie, mówcie”, więc mówię. I potem nie wiedziałam, czy to ja mówiłam, czy ten przesłuchujący mówił, czy ja tylko tak myślałam. Bo to nie skończyło się na jednym przesłuchaniu, tylko schodziłam na dół, ledwo się położyłam na pryczy, może pół godziny, może to... „Baranowska na górę”. I znowuż, już w innym gabinecie, inny przesłuchujący, to samo. Od życiorysu. Więc taka była straszna kołowacizna. Ja naprawdę wracałam na dół i nie wiedziałam, czy on mi mówił, bo ona pyta: „Należeliście, robiliście to, to...”. Zaraz, zaraz, to on mówił, czy to ja mówiłam, czy tak było, co ja chciałam powiedzieć, a co ja zataiłam? I taki człowiek był skołowany. Zасыpiałam, znowuż budzenie, znowuż na górę. I takie czasami 2-3 przesłuchania w ciągu nocy. W dzień też były, ale te w dzień były nie takie straszne. Te nocne były, wyrwana ze snu i tak ja byłam traktowana jakoś ulgowo. Tylko raz mnie uderzył i to jeden, którego znałam, który prawdopodobnie nas rozpracowywał, bo był w naszej grupie, znałam go, wiedziałam, że jest w wojsku, miał na imię Zygmunt i on nawet się tam do jednej z dziewczyn zalecał, to tego, tak że traktowaliśmy go jako kolegę. Ja jestem u niego na przesłuchaniu w jednym z pierwszych dni, więc mówię: „Zygmunt, powiedz, co ty...”, a on: „Nazwisko wasze!”. O Jezus, mówię: „Aha, chyba tu podsłuchują albo coś”, więc już: „Powiedz za co ja...”, a on już jakieś tam burknięcie. I on mnie pierwszy raz na te moje takie właśnie w pewnym sensie agresywne pytania, za co ja tu jestem, co mnie czeka, to on mnie uderzył w twarz. Jeden raz i na tym się skończyło. Tak że mnie osobiście nie bili, ale koledzy dostali. Jednego to do szpitala zabrali, bo miał nerki odbite, Korzeniowski Tadeusz. Mam jego... już po latach jego żona mi przysłała dokumenty lekarskie, zaświadczenia, że chorował potem cały czas na nerki i stwierdzenie, że to skutek właśnie więziennego pobytu i pobicia w więzieniu. Różnie byli traktowani, chłopcy byli gorzej traktowani. I potem ich zabrali do więzienia. Jeszcze przed rozprawą, już jak się zamknęło śledztwo, bo sankcja pierwsza prokuratorska była na dwa miesiące, a potem przedłużyli na następne dwa miesiące, potem była rozprawa. Mnie na przykład z Gorzowa na rozprawę wieźli pociągami. Jeden był w stopniu oficerskim, chyba podporucznik z krótką bronią, a drugi żołnierz z długą bronią, z bagnetem nasadzonym na karabinie, a ja w kajdankach i w pociągu jechały nasze matki, jechało tam sporo ludzi ciekawskich po prostu, to nie wiedzieli... No, matki to wiedziały, co jest... Ale nie razem w tym przedziale. Ale ci inni ludzie to nie wiedzieli, kogo wiozą. Ja z warkoczem byłam takim dużym, młoda dziewczyna, skuta, więc oczywiście jakaś bandytka albo złodziejka, albo nie wiadomo co. Jeszcze pod taką obstawą. Teraz z IPN-u wyciągnęłam, sobie zrobiłam ksero właśnie takich dokumentów jak nakaz dowiezienia mnie, potem meldunek, że zostałam dowieziona na rozprawę, bo chłopcy byli w Zielonej Górze doprowadzani czy tam dowożeni na rozprawę, a mnie musieli z Gorzowa do Zielonej Góry pociągami wieźć i po pierwszym dniu nocowałam w więzieniu, to tam był inny rygor pierwszy raz, bo tak to ja swoje rzeczy na przykład w Gorzowie, w tej piwnicy miałam w celi. Kibel miałam w celi i swoje rzeczy, a tam jak byłam, nocowałam w okresie rozpraw w Zielonej Górze, to musiałam wystawiać stołek i na stołku w kostkę ułożone swoje rzeczy, swoją spódnicę, bluzkę, zupełnie inaczej, inny rygor. I nie byłam sama w tej celi, były jakieś inne tam babki.

Głos: I to wszystko...

Teresa Dudzicka: Ciekawe za co siedzę, mówię „Polityczna”. „Uu, taka gówniara, polityczna”. To były oczywiście inne jakieś tam, nie polityczne.

Głos: I to wszystko działo się jeszcze przed rozprawą sądową.

Teresa Dudzicka: Przed rozprawą, tak. W trakcie rozprawy w więzieniu właśnie byłam. Przed rozprawą... Cały czas właśnie było, jak się zamknęło już śledztwo, to nawet mnie brali do takich prac porządkowych. Chodziłam, zamiatałam te korytarze. Po tych korytarzach w piwnicy ubowskiej, nawet przynosiłam jakieś pety, papierosy z jednej, bo wizjery nie miały szkiełek, tylko miały takie otwierane wahadelfka, więc podawałam te papierosy, oddziałowemu pomagałam rozdawać zupę albo kaszę, co tam, zależy co gotowali. Tak że już wtedy byłam, po zakończeniu śledztwa, takim popychłem do... Byłam sama, siedziałam w celi sama, ale mogłam już korzystać z tego, że jak mama mi przyniosła... bo szef UB wyraził zgodę na... Co tydzień mama przynosiła mi bieliznę i zawsze coś do jedzenia. Kiedyś poprosiłam o jajka i mama przyniosła mi surowe jajka, to nawet mogłam sobie usmażyć w kuchni obok, bo moja cela była jedna z pierwszych, była dyżurka, moja cela, tam był korytarz i kuchnia, więc bardzo niedaleko i ten oddziałowy mi pozwolił. Tak że nawet sobie jajka tam smażyłam. Oczywiście do tych jajek dosypałam mąki i nazywałam to omletem. Tak że nawet mamie to pisałam o tym omlecie, bo siedząc tam, jak bieliznę mama co tydzień mi zmieniała, to udało mi się przekazać mamie grypsy. Pisałam na szmatkach, na batystowych takich szmateczkach pierwszą, po prostu chustkę do nosa porwałam i napisałam. Mama się zorientowała, że dając mamie, to tak podawałam te majtki i tę gumkę. Mama to zorientowała się, że coś tu jest w tej gumce. Zabrała tę brudną bieliznę i tam napisałam, że znaczy to jest sposób do przekazywania i mama mnie też tam czasami, ale bała się, bo jak mama coś przynosiła, to patrzył ten ubowiec, co przynosi. Więc mama się bardzo bała. A ja już jak oddawałam brudną bieliznę, nie podejrzewali, że coś mogę mieć, coś tego, nic. Moje, to to zwijała i sporo tych grypsików dochowała, przechowywała. Tak że i do tej pory mam. Niektóre nawet dałam na wystawę, która teraz jest organizowana w urzędzie miasta o młodości walczącej. Właśnie te plansze, co są. Nie wiem czy będą eksponowane, czy nie, bo tam przekazałam takie dwa serduszka, jeszcze pozostały mi, które lepiłam z chleba z inicjałami tam. Moja siostra przyrodnia, mieszkająca w Gdańsku, jeszcze zachowała różaniec, który przesłałam jej, taki z chleba właśnie robiony. Tak że to... Już teraz te wspomnienia się zacierają. Jak było dochodzenie przeciwko ubowcom, którzy nas tam przesłuchiwali, jak traktowali, to dwa albo trzy razy byłam proszona do prokuratury w Otwocku, gdzie przedstawił mi prokurator planszę i mówi: „Niech pani rozpozna, który panią przesłuchiwał, który bił, który jak się zachowywał”. Ja mówię: „Panie prokuratorze, po 50-paru latach te twarze wydają mi się jakieś znajome, ale ja nie wiem który, co, jak”. Wtedy jeszcze... Pierwszy raz to nie były plansze, nie. Były tylko... Podać nazwiska. Ja mówię, że oni się mnie nie przedstawiali. To ja im się przedstawiać musiałam. Musiałam od życiorysu zaczynać mówić. Byli raz w cywilu, raz w mundurze, ja nie wiem, kto, kiedy, jak. A potem drugi raz po paru tygodniach właśnie te plansze mi pokazali. Faktycznie twarze takie wydawały mi się znajome. Ten w mundurze, ten w cywilu, to taki... Ale nie mogłam sobie skojarzyć który, jak się nazywa. I na tym się skończyło. To były konfrontacje, jeszcze wtedy żyło paru kolegów moich, jak było to dochodzenie, ale umorzyli. Mam właśnie dokument umarzający to śledztwo. Śledztwo było z urzędu prowadzone, przynajmniej ja nic nie wiedziałam o tym. I dostałam potem pismo, umorzenie i uzasadnienie. W jednym punkcie uzasadnienia to takie śmieszne było, bo konfrontacja była z którymś z kolegów, ale z tej Unii Demokratycznej, bo on skarżył się, że go tam traktował jakoś któryś tam z tych ubowców źle i określał go, że tam był ciemnowłosy, tego, szczupły, coś

takiego. A do konfrontacji przedstawił faceta, który był łysy czy siwy i krępej budowy, nie odpowiadał temu... Więc trudno, żeby po 50-paru latach ten człowiek był taki sam ciemnowłosa, szczupły i tak dalej. Już był siwy i gruby, więc prokurator powiedział, że konfrontacja nie dała rezultatu. Ale na tym właśnie umarzającym piśmie było „Do wiadomości: Poszkodowani”. I z tego pisma dowiedziałam się o wszystkich moich kolegach, że nie żyją, bo widzę nazwisko i imię żeńskie. Więc zorientowałam się, że to są żony moich kolegów. Bo żadnych kontaktów nie utrzymywaliśmy. Po prostu ze strachu. Każdy się bał. Każdy mieszkał w innym mieście. Ja pojechałam do Otwocka, jeden z kolegów do Wrocławia, jeden do Torunia, w Gorzowie był Lenart. On najgorzej miał, bo dopiero teraz z akt IPN-u dowiedziałam się, jak tam... jak był szykanowany tam na miejscu w Gorzowie. Ale pomijając już to, ja napisałam do tych wszystkich żon, do tej mojej koleżanki też, z którą nie miałam ostatnio kontaktu, bo ona też wyszła za mąż, zmieniła nazwisko. Ja też miałam tam w tym prokuratorskim dokumencie nazwisko już tego Bułgara. I Maria, pierwsze imię. Wszyscy mnie znali jako Teresę Baranowską, a nikt nie znał jakiejś Marii Donczewa. Nawet potem ta jedna, druga koleżanka mówi: „Nie wiedzieliśmy o kogo tu chodzi. Co to za poszkodowana z naszej grupy, jakaś Maria Donczewa”. Ale napisałam, przedstawiłam się, powiedziałam, kim jestem, poprosiłam te wszystkie panie o jakieś informacje, bo ja nie wiedziałam nawet, kiedy ci koledzy ożenili się, kiedy, co, jakie mają. Każda z tych żon napisała, przysłała mi, bo ja zbierałam materiały po prostu do opracowania, żeby mieć jakieś wspomnienia i tak im przedstawiłam to. I otrzymałam, i dokumenty, niektóre mi przysłały ksero właśnie zwolnienia z więzienia, jedna mi przysłała automatyczne wymeldowanie go, jak go aresztowali. Wymeldowanie, zaświadczenie, że został wymeldowany i aresztowany, przebywa... Z urzędu wymeldowali go z domu. Więc taki dokument mi... No, takie różne właśnie. Ta dziewczyna z Unii Demokratycznej, Henia, mieszka pod Poznaniem, przysłała mi pół zeszytu zapisanego właśnie swoimi wspomnieniami, co było, gdzie było. Ona dostała 5 lat pierwszy wyrok, 3,5 roku przesiedziała. W Nowej Soli siedziała, w szwalni gdzieś pracowała, tak że... Bo pierw rozprawa się odbyła tej właśnie młodzieży Unii Demokratycznej. I były wyższe wyroki jak nasze, i to było takim postrachem dla nas, i dla wszystkich w ogóle w Gorzowie. Tak że oni poszli na pierwszy ogień i chyba ich potraktowali gorzej jeszcze jak nas. Tam były może poważniejsze wykroczenia, jak nasze. Bo nasze były właśnie raczej te takie tylko pisanie, taka propagandowa historia. Nie było żadnej walki, nie było rozboju, że tak powiem. Były takie plany. Tam Lenart planował. Potem powołał właśnie Batalion Śmigły i planował jakieś takie większe akcje, ale niestety nie doszło do skutku. Rozpracowali nas. Koledzy wszyscy umarli. Z naszej grupy, z tej sądzonej grupy żyją tylko ja. Lenart jest pochowany w Gorzowie, Kućko pochowany w Gorzowie, Korzeniewski pochowany w Toruniu, a Brzoza nie wiem gdzie. Wyjechał gdzieś za granicę i słuch po nim zaginął, nie wiem. Ale napisałam parę lat temu do komendanta hufca harcerskiego w Gorzowie. Tak bardzo pobieżnie napisałam historię harcerskiej organizacji podziemnej i poprosiłam, że może by harcerze zajęli się grobami tych kolegów harcerzy. Niestety ani odpowiedzi nie dostałam żadnej, ani jak rozmawiałam z żoną Kućki, czy może były jakieś tam... na Wszystkich Świętych, może przyszli, może harcerze byli. Nie, powiedziała, że nic. Tak że... Ona mówi: „Słuchaj, to jest inny związek. To harcerze zupełnie inni”. Też jak pisałam do Gazety Gorzowskiej, to nie wydrukowali tego. Ona mówi: „Co się dziwisz?”. Określiła to, mówi: „To jest taka... Czerwona komuna tam siedzi”. Tak że nie wydrukowali tego. Potem pisałam do Gazety Gorzowskiej też, ale wysłałam zdjęcie harcerek, mojego zastępu. Nic nie wspominałam o HOP-ie, tylko właśnie o drużynie, o harcerkach, że ewentualnie jakiś kontakt ze mną i wydrukowali to, i nawet się odezwała jedna, ale mieszka w Szczecinie. Przypadkowo tę Gazetę Gorzowską przeczytała i zobaczyła to zdjęcie. Nawet mówiła, że tam nawiąże kontakt z Gorzowem, z tymi harcerkami, które jeszcze tam są. Każda gdzieś... Też nie mieszkają wszystkie tam. Tak że i to spełzło na niczym. A na starość to jakieś takie ciągoty właśnie mam do tego.

A to rodowód jakiś wyciągam stary i piszę do wileńskich gazet, i tam jeżdżę co roku na spotkania szkolne, i mam kontakty z tamtymi ludźmi. Z AK wileńskim, chociaż mam tę satysfakcję, że jadę tam, uczestniczę w jakichś uroczystościach, w akcji „Burza” ostatnio byłam w czerwcu i w pierwszych dniach lipca w Wilnie, i też uczestniczyłam z AK-owcami. Tak myślę sobie: „Moja mama jakby żyła, to też by tam była”. I do Gorzowa jakoś mnie ciągnie. Chciałabym nawiązać kontakty, chociaż już nie z członkami HOP-u, bo raczej nie żyjący już są, ale z ich chociażby żonami. Podobno Lenarta żona też już nie żyje, bo mam kontakt tylko z jedną z Gorzowa, z żoną Waldka Kućki. Ale to jest... Już chyba więcej nie ma co mówić. Całe życie przeskoczyłam w bardzo krótkim czasie.

Głos: A to jeszcze chciałem zapytać o sam proces. Jak wyglądał proces, jakie było nastawienie prokuratorów, jakie było nastawienie adwokatów?

Teresa Dudzicka: Adwokata miałam z urzędu. Prokurator to nas określał „wywrotowcy”, „bandyci”. Tego typu epitetami, tak że był młody prokurator.

Głos: I paragraf...

Teresa Dudzicka: Paragraf 86 KKWP, z tego...

Głos: I wszyscy zostaliście...

Teresa Dudzicka: Wszyscy z tego oskarżani byliśmy, z tego, tak. Sędzia chyba w randze kapitana był. Tak jak z tego wyroku kapitan Kołodziej, jeżeli sobie pamiętam, bo mam dokumenty, ale teraz nawet wzięłam pełny wypis, ksero zrobiłam z IPN-u, bo tak to miałam tylko wycinek dotyczący mnie, a teraz mam pełny dotyczący wszystkich, całej grupy, bo to teczki nasze też są, grupa Lenarta i inni, Lenart i inni, Harcerska Organizacja Podziemna Gorzów, Batalion Śmiały, Lenart i inni. Tak że nie mam swojej osobistej, tylko całej grupy. Rozprawy były... Zetknięcie nasze, młodych ludzi z wymiarem sprawiedliwości było takie szokujące, bo sam sąd, pobyt w sądzie, te zeznania, to były takie... Cały czas pod prężaniem, cały czas zdenerwowanie. Ja to przeżyłam bardzo. Taka roztrzęsiona po dniu rozprawy wracałam do tej właśnie więziennej celi w Zielonej Górze, trzęsąca się, to tamte, co tam siedziały ze mną, to się śmiały. Ja mówię: „Czego, czego”, no... „O, polityczna”, „O, polityczna znowuż płacze”. Tym się po prostu to ujawniało, te moje przeżycia.

Głos: A czy rodzina była obecna na procesie?

Teresa Dudzicka: Moja mama była, tak.

Głos: I jak zareagowała mama?

Teresa Dudzicka: Mama osiwała. Ja mamę to już... Jak po wyjściu z więzienia, to ja mamy nie poznawałam, bo od mojego aresztowania do mojego wyjścia to jednak trwało te paręnaście miesięcy, to mama osiwała. Bo ja wyszłam w 1951 roku, 1950-51, w sumie 11 miesięcy było. W październiku aresztowali... To musiałabym zajrzeć do do-

kumentów, bo już te daty to już zupełnie się... Ale jeszcze rok pobytam w Gorzowie i w lipcu wyjechałam do Otwocka. Mama została jeszcze w Gorzowie, ale nikomu nie dawała mojego adresu. Nie chciała w ogóle żadnych kontaktów, żebym ja nawiązywała. Bała się. Ja też do Gorzowa nie jeździłam, też się bałam. To po prostu bałam się tam pokazać, bo wydawało mi się, że... I to moje podejrzenia były zupełnie słuszne, bo teraz z akt IPN-u dowiaduję się, że informacje o mnie były do 60. lat, bo jeszcze były jakieś informacje, poszukiwali mnie zresztą. Bo jak wyjechałam z Gorzowa, to też z IPN-u się dowiedziałam, zapytanie do głównej komendy milicji, podane moje dane i że „działaczka nielegalnej organizacji”, coś takiego, zapytania o mnie były. Dowiedziałam się, że jednak szukali mnie, gdzie to ja się... A ja normalnie mieszkalam, pracowałam.

Głos: I jaki był wyrok sądu? Jeszcze raz przypomnijmy.

Teresa Dudzicka: Jaki co?

Głos: Jaki był wyrok sądu?

Teresa Dudzicka: Ja dostałam półtora roku w zawieszeniu na dwa lata. Lenart, mój dowódca dostał 3,5 roku. Następny miał trzy lata, dwa i... Kućko dostał też półtora, tak samo jak ja, w zawieszeniu na dwa lata. Lenart wiem, że siedział w Strzelcach Opolskich, że pracował w kamieniołomach, ale to już dowiedziałam się z gazety jaworzniackiej, bo kolega, jeden z „Jaworzniaków” opisywał w gazecie, ja to przeczytałam, że pobyt jego w więzieniu, w karcerze był i po powrocie z karceru zaopiekował się nim harcerz z Gorzowa, Lenart Aleksander. I potem apel taki był: „Olku, odezwij się”. To ja się odezwałam do tego kolegi „Jaworzniaka”, że niestety Olek już nie żyje. Nawiązałam... Do śmierci tego kolegi kontaktowałam się z nim, opowiadał mi właśnie o przeżyciach więziennych, gdzie wspólnie siedział z moim dowódcą, bo tak to bym nie wiedziała o tym. Te wszystkie wspomnienia to są trudne. Wolę nie myśleć o nich, bo to i od razu jakąś taką nutkę, czuję nutkę poruszam i zaczyna się to przeżywanie na nowo. Już w tej chwili czuję, że głos mi się łamie. Zakończymy tę rozmowę, bo... Bo to jest coraz trudniej wspominać. Nasz patriotyzm był jakoś niedoceniany. Dopiero teraz zaczyna się o tym mówić więcej, pisać. Teraz na przykład poszły wnioski o odznaczenia państwowe do prezydenta, całej grupy, prawie sto wniosków poszło. Część już „Jaworzniaków” otrzymała Pro Memoria, medale za ich prace właśnie udokumentowujące, historyczne prace, opisujące nasz zmagania. Takie... Teraz też jeszcze kilka wniosków poszło o medale Pro Memoria, tam dla „Jaworzniaków”. Teraz dopiero będziemy może jakoś, ktoś się dowie o tym, bo do tej pory nie wiedzieli, nikt nie wiedział, że były takie organizacje, że młodzież walczyła o coś tam.

Głos: A jak pani właśnie wspomina tę działalność w nielegalnym harcerstwie, to pamięta pani, że miała pani świadomość, po co jest to wszystko i z czym jest ta walka?

Teresa Dudzicka: Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy. Chcieliśmy tylko mieć harcerstwo Baden-Powellowskie w tym właśnie zakresie, a potem się zaczęło to rozszerzać, że jednak to takie: „Świnie siedzą w kinie na ruskich filmach”, bo to a, no, nie pójdziemy na rosyjski, bo bez przerwy tylko jest rosyjski, rosyjski, rosyjski, pięć razy w tygodniu, to wagarujemy, to na rosyjski nie idziemy do szkoły, jak to było jeszcze przed maturą. I takie właśnie początki. A potem to się zaczęło przeradzać właśnie, a to ulotki, a to nasłuchy. To już wtedy nam otwierało oczy, że to jest jednak działalność polityczna, ale nie bojowa, tylko właśnie raczej pisanina, propaganda, tylko propagandowe, bo myśmy

byli za słabi, za młodzi. To wszystko jeszcze było, takie początki tej nielegalnej organizacji. Każda organizacja miała inne zadania, inne jakieś swoje plany, co do działalności, bo byli i starsi koledzy, a u nas to była młodzież, to byli właśnie 17-, 18-latkowie. Chyba tylko Lenart był po maturze i ja byłam po maturze, bo Korzeniowski chyba nie jeszcze, Kućko też nie. Kućko był w zawodowej szkole. Brzoza jeszcze był po maturze, tak. A tak to wszystko jeszcze... Strasznie młodzieńcze zrywy. Takie młodzieńcze zrywy. One by się może i przerodziły w jeszcze bardziej upolitycznione historie, żeby nas nie rozbili.

Głos: A teraz jak pani patrzy właśnie na tę... Jak pani mówi, na te młodzieńcze zrywy, na to młodzieńcze jakieś szaleństwo, to jak pani myśli, co było takim wpływem, że właśnie chcieliście wybrać taką działalność, że chcieliście walczyć w tej propagandzie...

Teresa Dudzicka: Wzorce.

Głos: Jakoś nie zgadzać się na ten system.

Teresa Dudzicka: To były tak, wzorce z okresu okupacji, bo myśmy czuli okupację sowiecką. Dla nas to były wzorce okupacji niemieckiej i działania harcerstwa podczas okupacji niemieckiej. I myśmy chcieli to przenosić, i walczyć z tą drugą okupacją, ale to było takie jeszcze nieprzygotowane. Jakby tak jeszcze parę lat podziałać, to może byśmy coś więcej zrobili. Trochę te młodzieńcze zrywy złamały... Każdemu jakoś życiorys został przez UB złamany, przez tę naszą działalność. Chcieliśmy coś zrobić, ale to wszystko jeszcze nie wyszło tak, jak powinno być, powinno wyjść. Potem się to wszystko uśpiło, każdy się bał, zastraszony był, a patriotyzm wśród młodzieży w ogóle zanikł. Do dzisiaj nie można dokopać się patriotyzmu. Ja jak patrzę na młodzież, spotykam się z harcerzami, zupełnie inaczej podchodzą do życia, nie ma tych ideałów, co myśmy mieli. Dla nas to było ważne przyrzeczenie, krzyż harcerski. W przyrzeczeniu odniesienie do Boga, w tej chwili też jest, ale to jest zupełnie co innego. Ale nigdy bym nie powiedziała, że to było niepotrzebne. Było potrzebne. To było potrzebne. Może dla nas i dla tych, którzy będą o tym czytać, czy będą słuchać, to było potrzebne. Nawet taki drobny nasz niepodległościowy ruch pozostawi jakiś ślad.

Głos: A jakby teraz mogła pani coś powiedzieć do tych młodych ludzi, którzy dzisiaj są w harcerstwie, którzy dzisiaj są w wieku, w którym należy się uczyć patriotyzmu, to co by pani chciała im powiedzieć? Co jest istotnym, kluczową sprawą w tym, żeby uczyć się patriotyzmu, uczyć się miłości do ojczyzny?

Teresa Dudzicka: Właśnie uczyć się patriotyzmu, bo to naprawdę zanika. W ogóle w tym środowisku młodych, to rozmawiając z własnymi wnukami, to nawet mówią: „Babciu, chce ci się?”, do tego stopnia. Jak ja im opowiadam, że byłam tam, na przykład tu pojechaliśmy, w Zakopanem, odsłonięcie pomnika „Ognia”, tu opowiadam, pokazuję zdjęcia. Patrzą na mnie z politowaniem i mówią: „Ojej, babciu, chce ci się?”. Ja mówię: „Chcę mi się, bo wtedy, jak ja miałam wasze lata, to było zupełnie co... I wtedy nie mogłam. Wtedy byłam na indeksie. Wy teraz możecie studiować, a ja byłam wykluczona z tego przez nasze zrywy, przez to, że chcieliśmy wolności, niepodległości”. Nasze ulotki częściowo właśnie z nasłuchu, wypowiedzi rządu londyńskiego, to było wszystko dla nas święte, to były słowa takie, które nas budowały i jakoś podbudowywały, i chcieliśmy to przekazywać innym, a teraz tego już nie ma, zupełnie inne czasy. To trzeba też wziąć pod uwagę, że młodzież inaczej na wszystko patrzy. I dziwią się nam starym, że nam się jeszcze chce.

Głos: To w takim razie, jak uczyć patriotyzmu tych młodych ludzi dzisiaj

Teresa Dudzicka: Nie wiem, trzeba kochać ojczyznę. Honor i ojczyzna to jest takie ważne. A to zanika. Nie. Nie potrafiłabym teraz przemówić do młodzieży i mówić im, że jest ważny honor, że jest ważna ojczyzna, bo zobaczyłabym uśmiech na ich twarzach, uśmiech politowania, że: „Eee, co tam opowiada nam takie bajki”. No i to, tak że... Na takich gawędach harcerskich to zorientowałam się, prowadziłam takie z Jakubowskim, byliśmy na tym ognisku, to starsi ludzie słuchali gawęd z zainteresowaniem, w takim jakimś podniosłym nastroju, a młodzież to szeptała sobie między sobą, tam tego, to tak, to mało interesowało, co tam opowiadają te stare przyki. To na tej zasadzie. Nie potrafiłabym teraz przekazywać ideałów. Bałabym się właśnie jakiegoś takiego, że moje ideały zostaną wyśmiane. Trudno byłoby.

Głos: Ale kiedyś w pani czasach to było takie oczywiste, prawda?

Teresa Dudzicka: Tak, tak.

Głos: To było oczywiste.

Teresa Dudzicka: Dla nas jak się mówiło, to właśnie ideały, właśnie jakaś historia, to było zupełnie coś naturalnego. My dążyliśmy do tego, nam zmienili chusty w harcerstwie, to było przeżycie, bo chusty czerwone wprowadzono, a każda z drużyn miała przecież kiedyś swoje chusty, a zrobili nam jednolite czerwone chusty, to nas to zmobilizowało do wejścia do podziemia, że tak powiem. Myśmy potem krajki nosili, nie nosiliśmy tych chust. Jak naszych nie wolno było, to i tych też nie, to krajki nosiliśmy na mundurach. Nie. To...

Głos: Myśli pani, że wtedy, kiedy pani była jeszcze młoda, zaraz po wojnie, że poczucie takiej własności kraju, takiego posiadania czegoś swojego, było może większe, było czymś, za co warto było walczyć?

Teresa Dudzicka: Oj, na pewno tak. Myśmy na przykład tam na ziemiach zachodnich bardzo obco czuliśmy się my, repatrianci. Mówię o tym, czekaliśmy powrotu do Wilna, moja mama nie chciała nic przyjąć, jakiegoś tam mieszkania, domu za mienie pozostawione w Wilnie, bo my zaraz tam wrócimy, bo przecież to tam nasze, Wilno jest nasze. To... Nie, no, w ogóle te sprawy jakieś takie... Wolność słowa, też było to tłumione. Myśmy chcieli głośno mówić o tym, co myślimy. Nie było to możliwe, ale myśleliśmy o tym na naszych nielegalnych zbiórkach na niemieckim cmentarzu, tam zbieraliśmy się, tam śpiewaliśmy nasze piosenki harcerskie, których już nie było można śpiewać. Zawsze wspominaliśmy, co to było w czasie okupacji i co my teraz powinniśmy robić. Dla nas właśnie „Kamienie na Szaniec” to były nasze wzorce, Szare Szeregi, oni potrafili walczyć, oni walczyli. My też powinniśmy walczyć. To były takie nasze analogie do tego okresu, bo to było krótko po wojnie i to można było tę analogię stosować. Teraz to już zupełnie coś innego. Teraz tylko można mówić w odniesieniu do ojczyzny, że ojczyzna, ojczyzna, honor, ojczyzna... Bóg, honor, ojczyzna, te trzy hasła. Ale to jest różnie przyjmowane przez młode społeczeństwo, bo pojęcie ojczyzny, „No, dobra – mówi – to ojczyzna, to nasz kraj, no, tak. Ale ja pojedę do Londynu, tam lepiej zarobię”. I to jest już zupełnie inne podejście. Tego sobie nie wyobrażam, że my na przykład moglibyśmy myśleć o tym, że my wyjedziemy do innego kraju. A teraz młodzież... To jest normalna rzecz. Jedziemy, bo tam się lepiej zarobi. Materialistyczne podejście, czego my nie mieliśmy. Dla nas to wszystko było jeszcze... Nie dotknęliśmy tego, może tak, bo to była młodzież szkolna, licealiści. Ale... Ale nie żałuję tego, co było i nie żałuję tego, co przeszłam. Przynajmniej mam co wspominać.